

SARA RÓŻEWICZ

T R A Π S A T L A Π T Y K

2 0 1 0

*Nowe możemy zbudować tylko w oparciu o prawdę.
Tę prawdę musimy poznać, nawet jeśli jest ona bardzo bolesna.*

Helmut, 7.05.2010

1

Blade, martwe światło sączy się zza okna, ledwie przebijając przez całun chmur wiszących nad miastem. Twarz matki także wygląda blado. Kobieta leży nieprzytomna kolejny dzień, zawieszona w tej szarości.

Stoisz u wezłowania jej łóżka. Masz na sobie biały fartuch, ktoś mógłby cię przypadkiem wziąć za pielęgniarkę. Irytuje cię mechaniczny szum respiratora, nie mógłbyś przez niego zasnąć. Ale matka jakoś śpi. Jej nigdy nic nie przeszkadzało. Bierzesz ją za rękę. Krucha i chłodna, nie może być dłonią żywej osoby, a już na pewno nie jest dłonią, którą dopiero co ścisnąłeś dziecięcymi palcami. Może obudziłbyś ją, gdybyś ścisnął mocniej? Wycierasz dłonie w fartuch, ze zdziwieniem zauważając, że są spocone.

Telefon brzęczy ci w kieszeni spodni, dźwięk dzwonka jest wyciszony. Delikatnie odkładasz chłodną rękę matki. Kto to? Czego chce? Na ekranie telefonu wyświetlają się cztery litery: „Brat”.

– No, halo.

Znów podchodzisz bliżej okna, chociaż zasięg jest świetny w całym pomieszczeniu.

– Tak, u mamy jestem. Właśnie teraz. Tak, nic się nie zmieniło. Leży w śpiączce, mówią, że to dobrze. Ale generalnie nie wiem, czy się znają. Musimy pomyśleć, czy to odpowiedni ludzie dla nas.

Głos w głośniku to irytujący mechaniczny szum. Gdy odpowiadasz, twoje własne słowa brzmią nienaturalnie głośno.

– Tak, tak. Pytałem. Nie powiedzieli mi nic więcej niż ostatnio. Sami nie wiedzą.

Matka nic nie słyszy.

– Nic się nie martw, ja się nią zaopiekuję – brzmisz pewnie, choć protekcyjnie. – Będę tu u niej codziennie. Ty się nie przejmuj, ty masz swoją podróż...

Przestępujesz z nogi na nogę. Nie chcesz już rozmawiać, przede wszystkim nie chcesz już słuchać. Męczy cię ten głos z drugiej strony. Brzmi jak twój, ale jednocześnie zupełnie odmiennie. Jakbyś słyszał swoje nagrania z radia. Tam twój głos zawsze jest zniekształcony. Nie tak wyraźny, nie tak dźwięczny jak w twojej własnej głowie.

– Tak, będę do ciebie dzwonił. Jak zawsze. Tak, tak. No, na razie.

Chowasz telefon do kieszeni, poprawiasz połę białego fartucha. Wreszcie uśmiechasz się, otwierając lekko usta. Mrużysz oczy. Nic tu po tobie, zrobiłeś wszystko, co trzeba. Rzucasz matce jeszcze jedno spojrzenie, kręcisz głową i wychodzisz na korytarz, wciąż uśmiechając się do idących z naprzeciwka pielęgniarzy, jakbyś właśnie pomyślał o czymś bardzo przyjemnym.

2

Zrobiło się już bardzo ciemno. Wszystko przez te chmury – przykryły niebo siwą kołdrą. Można by pomyśleć, że wybuchł wielki wulkan, zasnuwając świat gęstym dymem. Cały czas chce się spać. Przecież poprzednie dni takie były ciepłe i słoneczne – czujesz, że nie nadążasz. Nie ma miesiąca tak kapryśnego jak kwiecień.

Włączam światło i trochę odżywam. W samą porę, bo słyszę zbliżającą się Krysie, drobiącą w korytarzu. Nie byle jakim korytarzu, bo pałacowym. Pięć lat zaraz minie, a wciąż nie przywykłem, że żyjemy w pałacu.

– Dzień dobry, Hans! – rzuca wesoło, gdy tylko się widzimy. Cała uśmiechnięta, w wyśmienitym humorze. – Widzę, że jakieś tornado tędy przeszło.

– Oj, żebyś wiedziała.

Pokój wygląda jak pobojuwisko. Zabawki walają się wszędzie. Tu lalka z jasnymi pukłami, trochę podobna do młodej artystki estradowej, tam konik, obok jakiś pluszowy stwór – dziwaczny, trochę jakby słoń, trochę dinozaur, pewnie z jakiejś kreskówki. Dzieci teraz chcą się bawić tylko tym, co widziały w telewizji. Nie wiem, czy to dobrze, czy nie zabija wyobraźni.

– Dawno poszły? – Krysia sięga po stwora. Po kolei zbiera wszystko i wrzuca do kosza na szpargały.

– Nie, gdybyś przyszła kwadrans wcześniej, jeszcze byście się spotkały. Masz pozdrowienia.

– Dziękuję.

– Chyba czas się już pakować – mówię szybko, bo dobrze wiem, że Krysia zaraz poruszy ten temat. – Zacząłbym już wcześniej, ale dziewczyny się zasiedziały.

Żona przygląda mi się z troską.

– Ja wszystko spakuję. Widzę, że jesteś zmęczony. Może weź sobie kąpiel? Dobrze ci zrobi.

Idąc do łazienki, przypominam sobie o szlafroku, który wisi w szafie w korytarzu. Nie cierpię tej szafy, wielkiej i ciężkiej jak sarkofag, ze skrzypiącymi drzwiami, którymi ktoś powinien się zająć. Najważniejsze jednak, że znajduję w niej to, po co przyszedłem – ciepły, miękki i pachnący szlafrok.

Woda leje się do wanny, szumi, piana rośnie jak drożdżowe ciasto. Pachnie tulipanami. Lubię tulipany. To ulubione kwiaty żony.

Krysia odzywa się do mnie, stojąc w drzwiach:

– Powiedz mi tylko, Hans, miły mój, co robimy z krawatami? Wiążemy na wszelki wypadek?

– Nie, nie. Luzem wrzuc do walizki, w hotelu zawiążemy. Po co się teraz trudzić?

– To może chociaż ten na jutro? Żeby na rano już był?

– Dobrze, dobrze. Niech będzie. – Rzadko kiedy potrafię jej odmówić.

Krysia przerzuca mi krawat przez szyję i kilkoma pewnymi ruchami sprawnie formuje węzeł. Zdjąłem już koszulę, krawat dynda więc na nagim torsie. Nawet nie chcę na to patrzeć w lustrze. Krysia zadowolona, luzuje pętlę i zdejmuje go ze mnie.

– No i pięknie – kwituje, spoglądając mi w oczy. Też jest zmęczona, ale udaje, że wszystko w porządku.

Zabiera z podłogi koszulę i wychodzi, zamykając za sobą drzwi. A ja ściągam resztę ubrań i wchodzę do wanny. Woda ma idealną temperaturę – taką, że w ogóle jej nie czuć, nie jest ani odrobinę za zimna, ani za ciepła. Zanurzając się w takiej wodzie, można zapomnieć, że się w ogóle istnieje, jakby zniknęła skóra, jakby zniknęły wszystkie bariery między wnętrzem a zewnętrzem człowieka. Gdyby jeszcze myśli mogły zniknąć.

Zawieszam wzrok na plastikowym samolociku, leżącym na brzegu wanny. Malutki, zmieściłby się w dłoni. Pewnie mała się nim bawiła, wszędzie roznosi te zabawki. Niech sobie bałagani na zdrowie, dzieci takie już są. Ciekawe, że akurat samolot. Dlaczego nie jakieś akcesoria dla lalek? Albo torebka?

Woda szumi pięknie. Kojąco.

Mamy z Helmutem po siedem lat i siedzimy w wannie, wielkiej, głębokiej, a obok na taborecie przysiadła mama. Chyba właśnie skończyła opowiadać nam bajkę. Helmut bawi się samolocikiem, ja mam statek, zabawki z jednego kompletu, zgrabne, z lakierowanego drewna. Ojciec kupił je za dewizy w sklepie z zagranicznymi dobrami. Był taki dumny, gdy przywiózł te precjoza do domu!

– Mamo, to teraz o Cudaczku-Wyśmiewaczku mi poczytaj – domaga się Helmut.

Mama z uśmiechem kręci głową.

– Tylko o Cudaczku-Wyśmiewaczku chciałbyś słuchać. A tyle jest bajek. O krasnoludkach wam opowiem.

– Nie chcę o krasnoludkach! Krasnoludki są głupie i wymyślone.

– A Cudaczek nie jest wymyślony?

– Nie.

– Jeszcze mały jesteś, Helmutku. Za mało w życiu widziałeś, żeby tak wyrokować, co jest wymyślone, a co prawdziwe.

Helmut jest niezadowolony. Nagle traci zainteresowanie opowieściami, wydaje z siebie głośne dźwięki mające imitować wystrzały z karabinu maszynowego, gdy jego samolocik ostrzeliwuje mój statek.

– Nie bawimy się w wojnę – protestuję, ale Helmuta to nie interesuje. Łapie statek i ściąga go pod wodę.

– Twój głupi statek zatonął – obwieszcza. – Już go nie ma. Wszyscy się utopili.

– Mamo! – domagam się interwencji.

Helmut chłapie mi wodą w twarz. Nie pozostaje mu dłużny, dodatkowo wytrącam mu z ręki samolocik. Skoro tak, to proszę! – myślę. Ten rozbija się o krawędź wanny, nikt nie zdążył się katapultować.

– Chłopczy! – mama podnosi głos. Tyle wystarczy, zaraz pokorniejemy. Wydaje mi się niesprawiedliwe, że skarceni zostajemy obydwaj, bo to Helmut zaczął, ale wiem, że żadnej dyskusji nie będzie. Mama, jakby nigdy nic, zaczyna opowiadać o krasnoludkach.

Z zamyslenia wyrывa mnie głos Krysi:

– Hans! Hans, wszystko w porządku?

Otwieram oczy. Mam sześćdziesiąt jeden lat, leżę w wannie, woda wciąż się leje i przelewa przez brzeg. Zrywam się, żeby zakręcić kran, przez co kolejna fala wylewa się z pluskiem. Wyciągam korek z dna.

Krysia wpada do łazienki, aż trzaskają drzwi. Patrzy na mnie, zdumionego, siedzącego z pianą na włosach. Widzę, jak oddycha z ulgą.

– Boże, jak się wystraszyłam. Przechodziłam i zobaczyłam, że z łazienki na korytarz wylewa się woda.

– Musiałem zasnąć... Boże, przepraszam. Ale wstyd. Ale wstyd.

– Nic się nie stało.

Gramolę się z wanny. Cała podłoga jest mokra. Krysia już działa, rzuca ręczniki, podaje mi szlafrok. Kręci głową, podnosząc samolocik, który znalazł się przy samych drzwiach.

– Czym to się teraz te dzieciaki bawią? – dziwi się. – Pomyślałbyś, że nasza wnuczka będzie się interesować samolotami?

– No skąd, Krysiu, w życiu.

Śmiejemy się razem. Piana spływa mi z włosów na podłogę.